

## **Marek Belka, „O naprawie Rzeczypospolitej”**

**Wykład wygłoszony w Fundacji im. Stefana Batorego w dniu 03.03.2004**

Podczas porannej debaty w Sejmie, o której być może Państwo słyszeli, inicjator uchwały wzywającej rząd do odwołania, pan poseł Giertych, posłużył się taką parabolą, takim chwytem heurystycznym. Wezwał mnie, abym powiedział to, co najważniejsze, wobec Sejmu, który jest emanacją narodu, a nie na salonach politycznych. Rozumiem, że miał to być epitet wobec tego zgromadzenia. Ale ostatnio się dowiaduję, że Sejm postanowił przerwać obrady. Rozumiem, że interesuje się „salonem”, co jest oznaką pewnego zdrowienia sytuacji, bo mam wrażenie, że z tego „salonu” jest bliżej do ludzi niż z sali na Wiejskiej.

(...) Mamy tu mówić o Polsce, o Rzeczypospolitej, o najbliższych i trochę dalszych zadaniach do wykonania. Oczywiście, oczekujecie ode mnie także wypowiedzi na tematy stricte polityczne, a przede wszystkim na dwa tematy: po pierwsze - jak zamierzam odpowiedzieć na apel Władysława Frasyniuka i Jerzego Hausnera, inicjatorów budowy nowego ruchu społecznego Partii Demokratycznej, po drugie - jak wyobrażam sobie i jak zamierzam wpływać na kalendarz polityczny najbliższych miesięcy. Mam więc w tej chwili trudne zadanie, aby połączyć te dwie sprawy.

Jeżeli chodzi o kwestie programowe, w istocie ponieważ jestem od 10 miesięcy premierem, to częściowo jestem zwolniony od powtarzania pewnych tez, od powtarzania oczywistości. Sądzę bowiem, iż od pierwszego swojego wystąpienia, a miałem ich trzy o charakterze expose programowego (w maju, czerwcu i październiku), we wszystkich tych wystąpieniach zawierałem pewne przynajmniej elementy mojej diagnozy, ale przede wszystkim tego, co uważam za najistotniejsze w naszym kraju i co za najistotniejsze uważam dla władzy.

Zacznijmy od pewnej diagnozy. Nigdy jeszcze Polska w tak krótkim czasie, w okresie 15 lat, nie dokonała równie wielkiego skoku cywilizacyjnego, jak w ciągu tych ostatnich kilku lat tzw. transformacji. Uważam, że jest to najbardziej owocny, najlepszy okres w historii Polski, przynajmniej w okresie trzech ostatnich stuleci. Co było dawniej, niech tym się

zajmują historycy. 15 lat niesłychanego sukcesu, cudu. Nie cudu rynkowego, nie tylko, ale cudu „nad skryptem” - 2 miliony studentów zamiast 300 tysięcy, kiedy ja byłem studentem (może jeszcze mniej). Cudu w zakresie stylu życia. Dzisiaj żyjemy podobno 5 lat, niektórzy mówią, że więcej lat dłużej niż zaledwie kilkanaście lat temu. Nie tylko dlatego, że są lepsze metody leczenia, coraz droższe, a więc wprowadzające zdrowie w permanentny kryzys, ale także że żyjemy lepiej - lepiej się odżywiamy, lepiej pracujemy (...)

Spółeczeństwo, pytane przez socjologów, jest zdegustowane już nie tylko klasą polityczną, ale ludzie mówią, że Polska idzie w złym kierunku. Generalnie żyjemy w przekonaniu, że Polacy są pesymistami. Nie wyobrażam sobie, jakim szokiem musiała być pierwsza strona "Rzeczpospolitej" z dnia wczorajszego (2 marca - przyp. CIR), kiedy okazało się, że jeżeli przymierzyć obiektywne kryteria, które badają nie opinie, a zachowania ludzi, to jesteśmy najbardziej optymistycznym narodem w Europie. A dlaczego? Bo pesymiści nie biorą kredytów. Kredytów hipotecznych, a nie kredytów „chwilówek”, w SKOK-ach, do przeżycia do następnego wtorku. Tylko ktoś, kto ma jednoznacznie optymistyczny obraz przyszłości swojej i swojej rodziny, bierze kredyt hipoteczny. Nigdzie w Europie nie ma takiej dynamiki jak w Polsce. Jak Polaków pytają, jakich zakupów dóbr trwałego użytku chcą dokonać, to mówią, jakie mają plany w stosunku do swoich dzieci, dokąd chcą je posłać do szkół. Okazuje się, że zmiana na lepsze w tym zakresie w Polsce jest najsilniejsza w całej Europie. Jeżeli pytają dzisiaj przedsiębiorców nie o to, czy podatki są za duże, bo przecież nawet najgłupszy przedsiębiorca powie, że są za wysokie, tylko czy zamierza dokonywać ekspansji swojego przedsiębiorstwa i na jakie rynki, czy zamierza inwestować, to na tej podstawie okazuje się, że polscy przedsiębiorcy i polscy konsumenci są nie najbardziej optymistyczni, są zdecydowanie najbardziej optymistyczni w całej Europie. Z drugiej strony rząd jest do bani, Sejm jest do bani, wszystko jest do bani. Trzeba by wyjaśnić, skąd się to wzięło.

Myślę, że wzięło się to stąd, że myśmy tę gospodarkę rynkową i demokrację niejako dostali w prezencie. Niektórzy mogą powiedzieć, że została ona nam niejako narzucona. Myśmy do niej nie dorastali, chociaż zawsze powtarzałem, że jesteśmy krajem tolerancyjnym i krajem o bardzo długich tradycjach demokratycznych.

Oczywiście, to jest inna demokracja. Nie ta, która się budowała w krajach Europy Zachodniej przez ostatnich kilkaset lat, a już na pewno przez ostatnich sto kilkadziesiąt lat. Myśmy przez 15 lat musieli przejść drogę budowania instytucji: instytucji demokratycznych, ale i instytucji gospodarki rynkowej, w tempie super-ekspresowym. Przez to ci, którzy mówią, że w Polsce reformy idą za wolno, po prostu bredzą, nie wiedzą, o czym mówić. I co

za tym idzie, nasza świadomość, nasze przygotowanie, ale także nasze nawyki pozostały w tyle. Poza tym my nie uznaliśmy, że te przemiany są nasze. Owszem 30, a może 40 proc., w następnym pokoleniu będzie już 50 albo 60 proc. ludzi uważających, że to jest nasze, że to jest nasz sukces. Ale w tym pokoleniu, do którego ja należę, prawdopodobnie większość ludzi uznaje, że to jest coś narzuconego, coś zewnętrznego. A jeżeli zewnętrzne, to trzeba się z tym jakoś uporać.

Polskie społeczeństwo ma długą tradycję radzenia sobie z czymś obcym. Wiemy, skąd się to bierze - z historii. Nasze społeczeństwo znakomicie się do tego dostosowało. Ludzie sobie radzą lepiej, niż mówią, że sobie radzą, ale radzą sobie wbrew albo obok państwa. Do tego są bardzo poważne argumenty czy też przyczyny materialne. To jest 3-milionowe bezrobocie. To są poważne, tak poważne problemy społeczne, do których myśmy nie byli przygotowani. Można oczywiście dyskutować, jakie błędy zostały popełnione albo czy być może było to nieuniknione. Ale skutek jest taki, że przecież jest wiele osób, które zostały zepchnięte na margines. To nie one tworzą tak naprawdę tę atmosferę. Ale ludzie obserwują i boją się, że ja też zostanę na ten margines zepchnięty.

Pamiętam, kiedy dwa lata temu wśród swoich kolegów (zwykle to są ludzie z wyższym wykształceniem, inżynierowie) spotykałem się towarzysko w Łodzi, zacząłem się bać tam przychodzić, dlatego że jedynym tematem podczas tych dyskusji była groźba utraty pracy: że właściciel żąda ode mnie, żebym zgodził się pracować na 2/3 etatu albo na 4/5 etatu, bo inaczej mnie wyrzuci z roboty; że mój syn kończy studia i właściwie gdzie znajdzie pracę. Oni wszyscy patrzyli: No, może byś pomógł. Ja nie prowadziłem żadnej agencji pośrednictwa pracy, ani wtedy, ani teraz. Teraz, gdy się spotykamy - powiedzmy, nie dzisiaj, ale parę miesięcy wcześniej - to dyskusja była inna. W dalszym ciągu był problem, że nie ma nowych miejsc pracy, ale moi koledzy już nie bali się, że ich zwolnią, a dzieci w międzyczasie dostały już robotę. To w dalszym ciągu jest sytuacja, kiedy wszyscy czekamy na szybki wzrost ilości miejsc pracy, ale to już nie jest sytuacja, w której jest „zsuwanie się w przepaść”.

Po drugie - to jest dywersyfikacja społeczna. Ludzie, nawet ci, którym się nie pogorszyło albo polepszyło trochę więcej, zaczynają patrzeć na tych, którym się naprawdę udało, i stwierdzają: Zaraz, zaraz, czy oni są od nas lepsi, czy są ode mnie lepsi? Czy ja nie zasługuję na to samo?

Gorzej. Wśród tych, którym się udało, są politycy, bo po pierwsze, myśmy przyjęli być może słuszną zasadę: wynagrodzenia powinny być wysokie. Ale ktoś tu popełnia chyba błąd, skoro wynagrodzenia posłów są takie same jak wynagrodzenia wiceministrów. Tak naprawdę są dwa razy wyższe, dlatego że przecież do tego dochodzą pieniądze na utrzymanie

biura poselskiego. Żeby była jasność, jestem ostatnim człowiekiem, który by komuś zazdrościł wysokich uposażeń. Proszę mi wierzyć, nie traktujcie tego w ten sposób. Ale w społeczeństwie, w którym przeciętna płaca wynosi około 2,2-2,5 tysiąca złotych, a do parlamentu wchodzi ludzie często właśnie z takich pozycji dochodowych, nie do ministerstw. Dla mnie idealny minister to jest taki, który przychodzi do resortu i jednocześnie cierpi kilkukrotne zmniejszenie swojego wynagrodzenia, bo to znaczy, że już w życiu coś zrobił. Takich właśnie mam. Oni nie są przyspawani do koryta, bo to dla nich żadne koryto. Ale jak ktoś ma wybór między przeciętnym albo niższym niż przeciętnym dochodem, który gdzieś tam u siebie osiąga, i osiem razy wyższą pensją poselską, to myślę, że to może rodzić niezdrowy stosunek do tego, w jaki sposób się wypełnia tę funkcję poselską. Ale to przecież nie o to chodzi. Nie chodzi o wynagrodzenia. Ludzie bardziej są wyczuleni na przejawy złodziejstwa i korupcji. I albo jest to prawda, albo zostało to bardzo głęboko wprowadzone do wiadomości społecznej, że politycy to właśnie ci, którym się udało. Jesteśmy na jednym wózku z tymi, którym się udało, a być może się udało niezasłużenie. I to powoduje kaca. Z jednej strony materialna poprawa życia, jakości życia, stylu życia, naturalna akceptacja przez nas różnych wartości, do których dostępu nie mieliśmy 20 lat temu. Ale dla moich dzieci albo dla ludzi starszych od moich dzieci jest rzeczą naturalną to, że bez żadnych problemów się wyjeżdża za granicę. Dla mnie jest to rzecz do odnotowania, ale nie dla mojego syna. Po prostu on nigdy nie żył w innym świecie.

Są więc realne podstawy tego pesymizmu. Jest zmęczenie reformami. Za dużo zmian, bardzo dużo. Psychicznie nie byliśmy przygotowani na to i nikt w świecie nie byłby na to przygotowany. Są te 3 miliony bezrobotnych, jest dywersyfikacja, rozwarstwienie społeczne, którego nie akceptujemy jako społeczeństwo albo w każdym razie nie akceptujemy pewnych jego elementów. Tyle diagnozy.

Co robić dalej? Myślę, że podstawową sprawą jest konstatacja, że dyskurs polityczny w Polsce poszedł gdzieś zupełnie na manowce, na ubocze. Jeżeli dzisiaj zamiast o tym, w jaki sposób konsumujemy naszą obecność w Unii Europejskiej, czy powinniśmy dalej modernizować system podatkowy, czy jesteśmy za tym, żeby unowocześnić politykę społeczną i w jakim kierunku, a może jak się ustawić w naszej polityce wschodniej (to jest do pytania elit), jak być proukraińscy, a nie antyrosyjscy, to my zastanawiamy się nad tym, jak postępować z teczkami, a może taczkami. Dyskusja jest od teczek do taczek, od lustracji do aborcji. To są problemy niszowe, nie chcę powiedzieć, że nieważne, ale to nie może zastąpić całego dyskursu politycznego. To zresztą dzisiaj było widać w dyskusji nad uchwałą sejmową.

Zgadza się co do tego, że Sejm jest w sytuacji trudnej. To nie znaczy, że on nie pracuje i że nie ma wyników. Ale coraz trudniej te wyniki przychodzą, bo jest z jednej strony niecierpliwość (na prawicy), a z drugiej strony - słabsza mobilizacja (na lewicy). To jest bardzo trudna sytuacja, a poza tym jest, jak co cztery lata, początek kampanii wyborczej, gdzie każdy tydzień funkcjonowania ustawodawczego parlamentu kosztuje nas miliardy w przyszłych latach. I wszyscy mamy tego świadomość, tylko dalej zastanawiamy się, jak znaleźć zastępcze tematy. Niech się Belka poda do dymisji! Proszę bardzo. I co? Mamy kolejną zabawę. Kochamy zabawy, prawda? Kochamy igrzyska, tylko po co się dalej kompromitować?

Pytacie się, jaki jest mój stosunek, jaka jest moja reakcja na apel Władysława Frasyniuka i Jerzego Hausnera. Oto nowa formacja, dopiero powstająca, zwraca się z zaproszeniem do urzędującego premiera o akces. Proszę Państwa, jak ktoś dzisiaj mówi, że jest dziwne, kuriozalne to, jak ja mogę tolerować w swoim rządzie wicepremiera-opozycjonistę, to ja pytam: a która to opozycyjna partia zwraca się do urzędującego premiera z zaproszeniem, aby zasilił jej szeregi? To jest opozycyjna partia? To jest dopiero kuriozalne myślenie! Mogę oczywiście zrozumieć ciarki po grzbiecie, które przechodzą po różnych steranych politykach i z lewej, i z prawej, bo przecież każda nowa inicjatywa oznacza złamanie monopolu.

Powiem beczelnie: nie byłem zaskoczony takim właśnie apelem, tym, że się obaj ci dżentelmeni do mnie zwrócili. Dlaczego? Dlatego, że od pierwszego dnia funkcjonowania mojego rządu starałem się formować program i realizować go, program, który jest bardzo bliski temu, co mówią inicjatorzy Partii Demokratycznej.

Co mi się podoba? Podoba mi się to przede wszystkim, że to są ludzie, którzy chcą ludzi łączyć, integrować, a nie rozbijać. Pamiętają o przeszłości, ale nie dokonują napadu na przeszłość, takiego salta w przeszłość, żeby skokiem na przeszłość pokryć mizerny program. Podoba mi się, że są dumni z Polski, że są dumni z osiągnięć naszego kraju w ostatnich 15 latach. I podoba mi się to, że są Europejczykami, że uważają, iż Europa to nasz dom. Z Polski mamy być dumni i jesteśmy, tak jak dzisiaj powiedziałem w Sejmie. (...) Oprócz tego Europa to nasz dom. Podoba mi się jeszcze to, że - a płynie to z uznania dla naszych ostatnich 15 lat sukcesu - że zbudowaliśmy instytucje, które nie są do wyrzucenia, nie trzeba ich obracać w gruzy i ruiny, tylko jeżeli je właściwie wykorzystać, to zaczynają działać.

Korupcja - jedno z tych zjawisk, które mają już wymiar makroekonomiczny - zaczęła być w pewnym momencie poważnym problemem rozwoju makroekonomicznego w naszym

kraju. Ale aby walczyć z korupcją, nie trzeba powoływać jakichś komisji specjalnych (...) tylko trzeba pewnych instytucji prawnych. Mamy te instytucje prawne. Ci, którzy akurat się na tym znają, ja mniej, na pewno wiedzą, o co chodzi: świadek koronny, zakup kontrolowany. Bardzo ostre, twarde, rodem z amerykańskiego systemu prawnego instytucje są i zaczynamy je wykorzystywać. Ale przede wszystkim trzeba moralnego i politycznego przyzwolenia dla walki z korupcją. Żeby z korupcją walczyć, trzeba szubrawca złapać i przykładowo ukarać, czasami nawet bardzo, bardzo surowo.

Prokuratorów nie należy straszyć, nie należy ich rozpędzać, tylko należy im powiedzieć: Nigdy się do Was nie zwrócę z politycznym zamówieniem, ani z jednej, ani z drugiej strony. Tylko działajcie. Zeszły rok był dla prokuratury najlepszym rokiem w historii. Proszę Państwa, pamiętacie kiedyś takie malutkie zamieszanie na samym początku mojego rządu, kiedy zwróciłem się do ministra sprawiedliwości o informację na temat spraw sądowych czy raczej prokuratorskich, w które zamieszane były, czy są, osoby publiczne. Było tych spraw 30. Ostatnio wezwałem Prokuratora Generalnego i jego zastępcę, aby mi zdali relację, co się dzieje. Z tych 30 spraw chyba 24 zostały zakończone. Część już po wyrokach, część w sądzie. Pozostała szóstka: 4 to są tzw. sprawy rozwojowe - zaczynają powstawać nowe wątki i nie można ich zakończyć, dlatego że po prostu śledztwo zatacza coraz szersze kręgi; chyba 1 czy 2 przypadki - jawna obstrukcja zainteresowanych, bo nawet nie chcę powiedzieć, czy oskarżonych (znamy, nie chcę szermować nazwiskami, ale i posłowie czy nawet posłanki są w to zaangażowane). Ale co to znaczy? To znaczy, że system działa. Byłem mile zaskoczony, chociaż zawsze to powtarzałem wcześniej, kiedy przed kilkoma dniami opublikowano wyniki badania opinii publicznej, w których to badaniach ludzie w Polsce po raz pierwszy powiedzieli, że korupcja jest mniej intensywna niż rok wcześniej. Zauważyli, że dzisiaj jakby ta dobra pogoda dla korupcji pogarsza się. Jeżeli jest tyle spraw, o których bębnią gazety, a jeszcze informacja jest uzupełniona najważniejszą dla ewentualnych zainteresowanych informacją o postępowaniach prokuratorskich i skazaniach, to jest to sygnał: Obojętnie, czy jesteś ministrem, dyrektorem departamentu w ministerstwie, czy też we władzach samorządowych buszujesz, mogą cię złapać. Co więcej, istnieje wola, że Cię będą łapać, obojętnie, z jakiej partii jesteś. Ta konstatacja powinna zostać okraszona stwierdzeniem: jak się okazuje, można walczyć z korupcją, bo istnieją odpowiednie instytucje. Oczywiście, nie jest to łatwe. Jak Minister Finansów zaczął dobierać się do skóry celnikom, to ci zaczęli strajk, zdaje się, organizować. Związki zawodowe. Ale zdaje się, że się uspokoiło, tzn. dalej wybieramy „ssaka”, jednego za drugim, „zgniłe jaja”. To jest przykład może dotyczący najbardziej bolesnej sprawy, ale przecież te instytucje funkcjonują w różnych

dziedzinach. Nie funkcjonują idealnie, ja doskonale wiem, i o tym - mam nadzieję - parę słów jeszcze powiem, gdzie są według mnie najslabsze miejsca w polskim państwie.

To, co mi się podoba w Partii Demokratycznej, to jest obrona tego, cośmy osiągnęli, i budowanie na tym silniejszego państwa. Jak rok temu budowałem obecny rząd, zastanawialiśmy się, jakie podstawowe zadania nakreślić przed tym rządem. Nie będę ich teraz przypominał, ale one w sposób bardzo daleko idący, a w każdym razie ideowo pokrywają się z tymi deklaracjami, które płyną dzisiaj z ust inicjatorów Partii Demokratycznej. Parę miesięcy później, kiedy sfrustrowani pracowaliśmy nad kolejną ustawą z Programu Naprawy Finansów Publicznych, tak żeśmy skonstatowali: że chyba jedyną siłą, która w centrum próbuje się utrzymać na scenie politycznej, jest rząd. Dlatego pozwolę sobie na dość bezczelne stwierdzenie: nie byłem zdziwiony, że do mnie skierowane zostało takie właśnie pytanie i taki apel.

Pamiętam, jak zostałem premierem, to od razu dwie rzeczy zwały mi się na głowę. Pierwsza to jest sytuacja w służbie zdrowia. Nie chodzi o to, że jakiś szpital lamentuje, że ma za mało pieniędzy albo że komornik wchodzi (owszem, chyba w czterech szpitalach mieliśmy takie smutne przypadki, na ile tysięcy). Ale mieliśmy sytuację pustki prawnej, pustki systemowej. Gdybyśmy nie zdążyli tego zrobić - a to nam się udało i chwała Sejmowi w tym przypadku, chwała większości, którą zebraliśmy dla poparcia ówczesnej ustawy o systemie opieki zdrowotnej - gdybyśmy tego nie zrobili, nie byłoby kontraktowania usług. Pamiętacie Państwo te korowody, czterech ministrów zdrowia. Ale trup się słał gęsto i nie miałem żadnych złudzeń, gdy trzeba było, po miesiącu wywalałem człowieka, jeśli był nieskuteczny. Trzeba było zrobić najważniejszą rzecz. Czy zrobiliśmy to w sposób idealny? Absolutnie nie. Doskonale wiecie Państwo, że to było usłane różnymi kompromisami albo wręcz zgniłymi kompromisami (...)

A drugim problemem, który natychmiast spadł mi na głowę, to jest decyzja w sprawie Traktatu Konstytucyjnego. Czy możecie sobie Państwo wyobrazić, że gdybyśmy wtedy nie zgodzili się w końcu na tę wersję Traktatu Konstytucyjnego, nieco zmodyfikowaną w tych sprawach, w których to było dla nas istotne, dzisiaj bylibyśmy jak „brzydkie kaczątko”. Dopiero by nas łoilili po grzbiecie w dyskusjach na temat Nowej Perspektywy Finansowej. Ciekaw jestem, jakie by to miało znaczenie dla rozwoju sytuacji na Ukrainie. Bo największym sukcesem polskiej dyplomacji na Ukrainie było nie to, że Kuczma wezwał Kwaśniewskiego, chociaż to był wielki sukces, że właśnie miał do niego zaufanie, wezwał Kwaśniewskiego na pomoc w rozwiązaniu kryzysu, tylko to, że nam się udało w to wciągnąć Unię Europejską i tym samym podnieśliśmy sprawę ukraińską do poziomu sprawy

europiejskiej. Nigdy taką nie była, wręcz przeciwnie - była chowana głęboko pod dywan, żeby czasami nie przeszkodzić w stosunkach z Rosją. Ciekaw jestem, jakby się nam to udawało, gdybyśmy byli kolejnym hamulcowym w kwestii Traktatu Konstytucyjnego.

Pierwsze dwie sprawy. Musiałem to zrobić niemalże z dnia na dzień, jeszcze zanim dostałem ostateczną konfirmację ze strony Sejmu - wotum zaufania. I tak traktowałem to działanie. Dzisiaj mówi mi pewien poseł, jak ja mogę działać w polityce, skoro mówię, że się nie znam na polityce. Otóż, na takiej polityce to ja się naprawdę nie chcę znać! Uważam, że jest różnica między politykierstwem, politykowaniem, układankami partyjnymi a po prostu podejmowaniem decyzji, czyli zarządzaniem. Na tym, owszem, znam się.

Co więc powinno nastąpić? Jaki powinien być scenariusz najbliższych wydarzeń i jaki będzie scenariusz wydarzeń? Jak Państwo wiecie, 5 maja jest głosowany w Sejmie wniosek o samorozwiązanie się parlamentu. Oczywiście, różne są odgłosy w Sejmie: mogą być nawet i przyspieszone działania, może ten wniosek będzie przegłosowany i postawiony wcześniej. Proszę bardzo. Ale przyjmijmy, że to jest 5 maja. Zrobię wszystko, aby 5 maja Sejm zdecydował o samorozwiązaniu. Co by się nie stało 5 maja, obojętnie, czy Sejm postanowi tak czy inaczej, ja uznam, że misja mojego rządu będzie wypełniona. Z sukcesem, ale wypełniona. I także 5 maja, co by się nie stało w Sejmie, to będzie początek kampanii wyborczej. I ja wtedy podejmę decyzję co do swojej przynależności politycznej, przyszłości politycznej, bo uznam, że tak, jak to powiedziałem rok temu, potrzeba mi roku, tak tego 5 maja, zaokrąglając do trzech dni, ten rok minie i to jest cezura czasowa. A dalej?

Uważam, że wybory parlamentarne odbędą się 19 czerwca, a wybory prezydenckie - I tura - pod koniec września, w ostatnią niedzielę września. Właśnie 26 września powinno odbyć się także - łącznie z I turą wyborów prezydenckich - referendum w sprawie Traktatu Konstytucyjnego. Tym wszystkim, którzy mówią: Czekajmy na rok 2006, podpowiadam, co następuje. Ci wszyscy, którzy mówią: Czekajmy, czekają tak naprawdę na pretekst do odrzucenia Traktatu Konstytucyjnego. Może do tego czasu komuś się już noga powinie i ktoś odrzuci Traktat Konstytucyjny? My wtedy, z czystym sumieniem, z pełnym zadowoleniem, bo nie musimy kluczyć, „Nicea albo śmierć”, opowiemy się wtedy, że przyłączamy się do jakiegoś innego kraju w apelu o odrzucenie Traktatu Konstytucyjnego.

Ja uważam, że Polska jest w sytuacji dokładnie odwrotnej. My powinniśmy nie czekać na to, aż ktoś odrzuci, tylko powinniśmy dać przykład i przyjąć, żeby inni nie odrzucali. Uważam, że nie ma wyobraźni ten, kto myśli, iż Polska może bez akceptacji Traktatu Konstytucyjnego funkcjonować w Unii Europejskiej, tak jak dzisiaj Wielka Brytania funkcjonuje poza euro. Po prostu nie ma wyobraźni ten, kto tak sądzi i wreszcie nie ma



wyobraźni ten, kto myśli, że po odrzuceniu przez Polskę albo przez inny kraj Traktatu Konstytucyjnego Unia Europejska nie będzie się dalej rozwijać, tylko będzie się rozwijać różnymi prędkościami, a na pewno my nie będziemy na tym zyskiwać, tylko tracić. Taka, według mnie, jest optymalna ścieżka polityczna na ten rok.

(...) Najważniejsze jest to, żeby skrócić okres, w którym Sejm jeszcze działa, ale już w warunkach gorączki przedwyborczej. Myśmy w znacznym stopniu to ograniczyli. Niektórzy pytają nas, dlaczego nie zrealizowaliśmy Programu Naprawy Finansów Publicznych w takim stopniu, w jakim chcielibyśmy. Dlatego, żeśmy uznali, że jak ma być wprowadzona ustawa, która jest niedobra, która idzie w drugą stronę, w poprzek, to lepiej, żeby ona była odłożona na lepsze czasy. Nic się nam dzisiaj w finansach publicznych na głowę nie wali. Będzie się walić, jeżeli nie zrobimy dalej tego, co trzeba, i jeżeli beztrosko doprowadzimy do ponownego osłabienia koniunktury gospodarczej. Tak, pamiętam, zrobiliśmy parę lat temu. Sami, żadnej innej przyczyny nie było, sami żeśmy ten kryzys czy mini-kryzys wywołali. Jak tego nie zrobimy, to będziemy mieli czas, żeby uporządkować finanse publiczne. Zawsze będzie to bolało, ale lepiej to robić w warunkach wzrostu gospodarczego niż w warunkach kryzysu. To nieprawda, że w warunkach kryzysu łatwiej jest dokonywać przełomowych zmian w polityce gospodarczej. Tak, czasami tam, gdzie wymaga to zmian ustawowych.

Problem w tym, że my często zapominamy, że naprawa finansów publicznych w znaczącej mierze może się dokonywać w sposób bezustawowy, porządkując to, co już jest. Proszę Państwa, ta słynna reguła, którą zaproponowałem w roku 2001, a właściwie w styczniu 2002 roku, że wystarczy, jeżeli będziemy hamować wzrost wydatków publicznych o 1 proc. ponad inflację (...) Pamiętam, że wtedy bałem się, żeby dług publiczny nam się nie podniósł aż do mniej więcej 58-59 proc. i dopiero spadł. Dzisiaj, jak dobrze policzymy, to podejrzewam, że na koniec roku 2004 będzie poniżej 50 proc. Na razie Ministerstwo Finansów, jak zwykle asekurancko, mówi 50,5 proc., a potem się okaże, że samorzady o wiele mniej pożyczyły, czy zadłużyły się, niż żeśmy myśleli, ktoś czegoś innego jeszcze nie zrobił, i się okaże, że jest 49,8 proc. Wystarczy w okresie wzrostu gospodarczego hamować wzrost wydatków państwa i pod koniec dekady mamy nadwyżkę budżetową w granicach 4-5 proc. PKB i nie mamy żadnego problemu z wejściem do euro. Tylko musimy mieć dyscyplinę, z jednej strony wydatków, a z drugiej strony - wzrost gospodarczy.

Kiedyś Grzegorz Kołodko powiedział - i oczywiście wszyscy się zatrzęśli z oburzenia - że jedynym obrońcą, a w każdym razie największym obrońcą portfeli podatników jest Minister Finansów. Jakże to?! Przecież to Minister Finansów nakłada podatki. To jest nieprawda. Podatki nakładają ci wszyscy, którzy uchwalają ustawę albo proponują ustawy

zwiększające wydatki, które przecież tak czy inaczej trzeba sfinansować jeżeli nie dzisiaj zwiększeniem podatków, to za 5 lat. Ale są takie mechanizmy ekonomiczne, które sprawiają, że nawet ten niezbędny za 5 lat wzrost podatków sprawia, że już dzisiaj ludzie reagują w odpowiedni, negatywny, dostosowujący się do takiej sytuacji sposób. Rzeczywiście tak jest. To Minister Finansów, każdorazowy, który jest jak Cerber i zawsze mówi, że na nic pieniędzy nie ma, w istocie myśli o jednym: Dopuszczę do wzrostu wydatków, muszę potem podnieść podatki. Co nie oznacza wcale, że mam pełne zrozumienie dla biurokratycznych, aroganckich i nie uwzględniających potrzeb gospodarczych zachowań Ministerstwa Finansów, kolejnych Ministrów Finansów i urzędników w Ministerstwie Finansów. Ale chcę powiedzieć, że takiego spokoju, w jakim dyskutowaliśmy i uchwaliliśmy budżet na rok 2005, to ja nie pamiętam (...) To był po prostu okres dobrej koniunktury. Wtedy jest wszystko łatwiej, wtedy nawet łatwiej jest połknąć gorzką pigułkę w postaci obniżenia wydatków na pewne cele.

Najważniejsze dzisiaj ponad to, co robimy, to jest wzmocnić, kontynuować, zintensyfikować wysiłki dla budowy przejrzystego i uczciwego państwa. Co to znaczy? Musimy budować Służbę Cywilną. W tym roku przyjmujemy do Służby Cywilnej cztery razy więcej ludzi niż 2 lata temu. A wiecie, dlaczego? Bo przeważnie młodzi, ale w ogóle ludzie pracujący w aparacie państwowym uwierzyli, że to jest naprawdę i się zgłaszają, a jak się zgłaszają, to my nie możemy ich odrzucić szczególnie, że zdają egzaminy. Ci ludzie są na dobre i złe związani z państwem. Oni po prostu wybierają administrację państwową jako swoją karierę zawodową na stałe. Stabilizacja jest najważniejsza. Za tym idzie propaństwowość, kompetencja, bezpartyjność, w tym takim formalnym tego słowa znaczeniu. Dlatego też nie usłyszycie nigdy w moich wypowiedziach publicznych jakichś epitetów pod adresem urzędników państwowych, biurokracji. I gdy słyszycie, jak któryś z szarlatanów polskiej polityki gospodarczej mówi, że on ma wspaniały sposób na oszczędności budżetowe i na załatwienie problemów polskiej gospodarki - ciąć 10 proc. rocznie przez, nie wiem ile, 15 lat, tak żeby było do zera, liczbę urzędników państwowych - oznacza to, że po prostu niczego ciekawego nie ma do powiedzenia i nie ma żadnej wiedzy na temat potrzeb i nowych funkcji, jakie państwo przejmuje. My jesteśmy źli na biurokrację nie dlatego, że jest jej za dużo, tylko że jest spolityzowana, skorumpowana i bardzo często, w dalszym ciągu niekompetentna.

Po drugie - to jest odbudowa zaufania do wymiaru sprawiedliwości. A czego wymiarowi sprawiedliwości najbardziej potrzeba? Oddalenia od polityki, wyłącznie i tylko tyle, bo jak będzie oddalenie od polityki, to będzie także silniejszy samorząd sędziowski, prokuratorski. Będzie naturalna tendencja do eliminowania „czarnych owiec”, do

dyscyplinowania tych, którzy się zachowują w sposób nieetyczny. Obojętnie, czy są sędziami, czy adwokatami. Jeżeli co 4 lata przychodzi jakiś nowy Kaszpirowski polskiej sceny, polskiego wymiaru sprawiedliwości i mówi, że on ma drogę na skróty, to budzi tylko po prostu demony i oddala nas od normalności w wymiarze sprawiedliwości.

Co do gospodarki, to nie wiem, czy w ogóle powinien mówić na tematy gospodarcze. I nie będę mówił. Jest rzeczą oczywistą: gospodarka w Polsce jest gospodarką rynkową. Ten zakres rynkowości coraz bardziej się poszerza. Powinniśmy dokończyć prywatyzację nie dlatego, że natychmiast prywatyzowana firma lepiej działa, tylko choćby dlatego, że w prywatnej firmie czy z prywatnej firmy jest trochę dalej - choć też nie jest to odległość nie do przebycia - trochę dalej do państwa, do urzędników państwowych z prośbą o dotacje, o szczególne fory. Trochę dalej, choć oczywiście wiem, że sytuacja jest nieidealna i to nie tylko w Polsce. Ale nieprzypadkowo pomoc publiczna idzie do przedsiębiorstw państwowych, bo tutaj jest ta bezpośrednia odpowiedzialność. Czy ona jest zawsze rozsądna? Oczywiście, że nie, ale gdy ostatnio przeczytałem listę tych największych przedsiębiorstw, które dostały pomoc publiczną, na jednym znalazł się bank PKO BP. Rzeczywiście jeszcze w 2001 roku otrzymał pomoc publiczną, ale ta pomoc publiczna okazała się skuteczna i dała rezultaty. Dzisiaj ten bank, który działa na bardzo konkurencyjnym rynku, świetnie się zachowuje, jest bardzo rentowny. Oczywiście, w dalszym ciągu jest tam wiele do zrobienia, ale uważam, że ten bank, szczególnie teraz, po upublicznieniu, „ugiętdowieniu”, jest lepiej wyposażony, żeby stawiać czoła konkurentom prywatnym i to szczególnie, że są to konkurenci wielcy, wielkie globalne firmy finansowe.

Zdajemy sobie sprawę, że państwo ma bardzo poważną rolę do spełnienia w gospodarce, ale nie w zastępowaniu mechanizmu rynkowego, tylko w uruchamianiu go tam, gdzie go nie ma. Przykład - na ostatniej Radzie Ministrów uchwaliliśmy projekt ustawy o likwidacji tzw. KDT-ów. Są to tzw. kontrakty długoterminowe. Nawet Państwo sobie nie wyobrażacie, że w Polsce każda elektrownia sprzedaje do PSE prąd po różnej cenie negocjowanej, a potem się wszystko miesza i my płacimy średnią cenę za prąd, który po prostu płynie z sieci. Jakie są tego konsekwencje? Nie sposób dzisiaj elektrownię sprzedać przede wszystkim, sprzedać czy na giełdę posłać. Za kilka lat, za bardzo niewiele lat, kiedy będziemy musieli być konfrontowani z energią z innych krajów, część tych elektrowni po prostu mogłaby „zostać zbankrutowana”, że tak powiem. A co, zależy nam na tym, żebyśmy prąd kupowali z Ukrainy i z Niemiec?

Gospodarka nie może funkcjonować bez państwa i bez instytucji. Trochę żartując mówię, iż jestem liberalnym ekstremistą wśród lewicowców i lewicowym ekstremistą wśród

liberałów. To jest bagaż doświadczenia zawodowego, które wyniosłem z Uniwersytetu. Ja jestem historykiem myśli ekonomicznej, przez wiele lat nim byłem. Wiem po prostu, że nie ma jednej teorii, która wszystko wyjaśnia. W wielu różnych koncepcjach ekonomicznych są racjonalne wątki. Może dlatego czasami nie jestem w stanie w sposób stuprocentowy opowiedzieć się za jedną opcją w myśleniu ekonomicznym. Po prostu znam za dużo różnych poglądów.

Najważniejszą rzeczą w gospodarce, która zostaje do załatwienia, to jest obniżenie klina podatkowego, czyli mówiąc krótko obniżenie kosztów wyjścia z bezrobocia. Ale, proszę Państwa, to kosztuje. To oznacza po prostu, że trzeba gdzieś obniżyć podatki, obniżyć opłaty na ZUS, obniżyć różnego rodzaju opłaty. Trzeba więc znaleźć przestrzeń na to albo obniżając wydatki, albo przynajmniej te wydatki zamrażając lub hamując. A przecież wiemy, jak przyjemne jest obniżanie wydatków czy nawet ich zamrażanie. W Polsce przez 15 lat obniżaliśmy podatki od kapitału, ale nie od pracy. Efekt? 3 miliony bezrobotnych. To jest zresztą jedna z przyczyn.

W gospodarce mamy przede wszystkim kontynuować proces porządkowania, nie wierzyć w żadne drogi na skróty. Nie wierzyć w mity. Nie wierzyć także, że istnieje możliwość załatwienia czegoś bezboleśnie i natychmiast, bez kosztów. Ostatnio jeden z występujących tutaj przywódców i ekspertów gospodarczych wspomniał, iż ma pomysł na wzmacniającego się złotego: należy po prostu dokonać tzw. jednostronnej euroizacji, wprowadzić euro i już. Bardzo ciekawy pomysł teoretyczny, akademicki, który był dyskutowany w Polsce kilka lat temu i być może kilka lat temu, jak byśmy to zrobili, zanim byliśmy w Unii Europejskiej, to może narazilibyśmy się tylko na burzę średniej wielkości. Dzisiaj to oznacza, że wywołalibyśmy wojnę z całą Unią Europejską, która od zawsze mówi, że takie działanie jest wbrew prawu europejskiemu. Jakbym był wyłącznie profesorem ekonomii, to taka koncepcja byłaby jak najbardziej koncepcją do dyskusji i do rozważenia jej ewentualnych wariantów. Są takie warianty, tylko że na to trzeba mieć 2 proc. albo najlepiej nadwyżkę budżetową, ale to już drobna sprawa, prawda? Natomiast jakbym był premierem, a akurat jestem, albo kandydatem na premiera, to bym takich rzeczy nie mówił, bo premier ma obowiązek po pierwsze - wiedzieć, co mówi, po drugie - musi wiedzieć, czy to, co mówi, jest do zrealizowania. Bo jak jest nie do zrealizowania, to po co się kompromitować?

Jeżeli chodzi o sprawy polityki zagranicznej, to myślę, że w ostatnim czasie dostrzegaliśmy, że świat jest skomplikowany. Przez ostatnie 15 lat odnieśliśmy wielkie sukcesy. Myśmy po prostu zrealizowali wszystkie swoje strategiczne cele: Unia Europejska, NATO, niezauważenie w międzyczasie weszliśmy do OECD - klubu najbogatszych

gospodarek rynkowych. Ale potem stwierdziliśmy: weszliśmy do UE, ale to dopiero początek drogi, trzeba sobie tam wyrębać odpowiednią pozycję. Z Niemcami zrobiliśmy *freundschaft*, tylko że teraz się okazuje, że jeszcze tabory trzeba podciągnąć, że oni tam mają po swojej stronie parę spraw nie załatwionych. Okazuje się, że Rosja ciężko przeżywa utratę imperium, szczególnie jeżeli chodzi o Ukrainę. Wreszcie okazuje się, że stoimy wobec naszych specjalnych, historycznie uwarunkowanych i uwarunkowanych także interesem narodowym specjalnych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Stoimy wobec dylematów albo możemy stawać wobec dylematów. Najlepszy dowód - Irak. Naraz się okazuje, że ta polityka zagraniczna - gdy się jest w środku, a nie na marginesie, gdzieś w czwartej lidze, tylko jest się co najmniej w drugiej lidze i to w czubie, a może nawet i na dole tabeli pierwszoligowej - to jest bardzo skomplikowana sprawa i nie ma spraw bezproblemowych, nie ma sytuacji bezproblemowych. Co w związku z tym?

Po pierwsze, my nie możemy mieć żadnych wątpliwości, że jesteśmy krajem europejskim, jesteśmy dobrym Europejczykiem i jesteśmy zdeterminowani tworzyć silną i jednoczącą się Europę, Unię Europejską. Nie powinno być żadnych w tej sprawie wątpliwości. Jest ich coraz mniej. U ludzi będzie coraz mniej, a w pokoleniu moich dzieci jeszcze mniej. Nasze pokolenie wychowane było w micie Stanów Zjednoczonych, w micie amerykańskim. Pokolenie moich dzieci będzie uważało Europę za swój dom, a Ameryka będzie coraz bardziej się oddalać, będzie coraz bardziej egzotyczna. Mówię to zresztą moim partnerom amerykańskim: Musicie mieć tego świadomość. Cała wielka sympatia do Stanów Zjednoczonych może osłabiać. Zostaje w dalszym ciągu interes, ale to mniej niż interes i sympatia. Uważam, że dobre relacje ze Stanami Zjednoczonymi to nie tylko kwestia sympatii, ale kwestia interesu narodowego. Co więcej, uważam, że te dobre relacje ze Stanami Zjednoczonymi wzmacniają naszą pozycję w Unii Europejskiej, a nie osłabiają się. Kto powiedział, że wielkie mocarstwa zachodnioeuropejskie traktowałyby nas poważniej, gdybyśmy nie byli w Iraku?

W naszym interesie, w interesie naszej polityki jest to, jak pogodzić, żeby być pro-ukraińscy i nie antyrosyjscy albo nie sprawiać wrażenia antyrosyjskości. To wymaga bardzo dużego rozsądku i także pewnej determinacji i odwagi, bo przecież nie będą nam w tym pomagać i to zarówno nasi partnerzy czy sąsiedzi ze Wschodu, jak i partnerzy i przyjaciele z zachodniej Europy.

Będziemy mieli niedługo taki mały sprawdzian w tej trzeciej sprawie. To są obchody 60-lecia zakończenia drugiej wojny światowej. Jechać, czy nie jechać? Ja się w tej sprawie bardzo wyraźnie wypowiedziałem. Oczywiście, że jechać. Jechać z trzech powodów: dla

przeszłości - Polska była od pierwszego do ostatniego dnia wojny członkiem koalicji antyhitlerowskiej i ani w defiladach zwycięstwa w zachodniej Europie, ani w Moskwie jako państwo polskie nie byliśmy reprezentowani, bo nie było wtedy rządu polskiego, który byłby uznany międzynarodowo (był rząd lubelski, czekali wszyscy na powstanie rządu jedności narodowej i byli wysłannicy tego rządu, w istocie nie mogą nie powiedzieć tego, byli to przedstawiciele czy delegaci wyznaczeni przez Stalina, a to, że byli na tej defiladzie przedstawiciele polskich wojsk, polskich żołnierzy, to jest inna sprawa; dla nich się należy wyłącznie najgłębszy szacunek). Gdyby nas tam nie było, to znaczy, że po prostu nie chcemy uhonorować naszego miejsca w koalicji antyhitlerowskiej. Dla terażniejszości - gdyby nas tam nie było, oznaczałoby to, że się eliminujemy ze społeczności międzynarodowej, która się tam stawi bez wyjątku. Kto by wytłumaczył, że kraj, który chce być jednym z najważniejszych krajów Unii Europejskiej, niektórzy nawet mówią, pewnego rodzaju oknem czy pomostem, rzecznikiem wschodniego sąsiedztwa, jest nieobecny w takiej sytuacji? I wreszcie - dla przyszłości. My się Rosji nie boimy. Ale nie boimy się Rosji demokratycznej, Rosji prosperującej gospodarczo, Rosji, która jest przecież na pewnym rozdrożu między perspektywami demokratycznymi i perspektywami autorytarnymi. My tam jedziemy także po to, żeby powiedzieć, że chcemy takiej właśnie Rosji, która odrzuca Jałtę rozumianą tak, jak to my rozumiemy i jak to rozumieją kraje nadbałtyckie - jako symbol zniewolenia, jednocześnie pamiętając, że dla Rosjan Jałta to był szczyt potęgi imperialnej, szczyt potęgi ich państwa. To też trzeba mieć na uwadze. My mamy inne wrażliwości, tylko my - tak przynajmniej sądzimy - usiłujemy tę drugą, rosyjską wrażliwość zrozumieć. Czekamy na to, aby i z tamtej strony takie sygnały były, że oni są gotowi zrozumieć naszą wrażliwość. Tak naprawdę po tamtej stronie uczyniono kiedyś coś wielkiego, uznano zbrodnię katyńską, ale od tamtego czasu właściwie nic się nie zdarzyło.

Jak widać, sytuacja jest jasna: 5 maja jest bardzo ważną datą w najbliższym kalendarzu politycznym.

*tekst opracowany przez Kancelarię Premiera RP*